

Jan Gondowicz: *Wspomnienie Adama Grzymały-Siedleckiego, pisane w dniach powstania warszawskiego, a wydane w tomie „Nie pożegnani”*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972, s. 19-27. Założeniem tej książki było, żeby "dać przyszłemu historykowi literatury wiadomość, jak tych autorów dorobek oceniał jeden z rówieśnych im czytelników" (Przedmowa II, s. 10):

W tym samym miesiącu wrześniu 1939 roku śmiercią samobójczą ze świata zeszedł IGNACY ST. WITKIEWICZ¹.

Syn malarza, architekta, krytyka sztuki, poety, jak i *sui generis* socjologa góralszczyzny, autora kilku tomów napisanych i kilkuset przegawędzonych, syn Stanisława Witkiewicza — St. Ignacy z przezwiskiem Witkacy, po ojcu odziedziczył talent prężny w wielu kierunkach. Na tle niespokojnej kultury, jaką wydały lata po wojnie 1914—1918 roku, autor *Nienasyceńca* zarysował się jako jedna z najbardziej oryginalnych, może nawet wprost najbardziej oryginalna (cudaczna, jak chcą niektórzy) umysłowość. Jego twórczość to jakby zuchwały szturm do wrót sławy. Chcąc mu znaleźć sprawiedliwe miejsce w literaturze (a o literacie Witkacym tu tylko będzie mowa), należy otrząsnąć się z jednej strony z sugestii tych reklam, jakimi go obsypywał np. Boy, a z drugiej strony obronić się przed ryczałtowymi potępieniami go lub lekcewągą.

Przede wszystkim jednak nie należy w nim szukać podobieństwa do ojca. Po autorze *Na przełęcz* Witkacy wziął jedynie pasję do myślenia i wspomnianą powyżej wszechstronność zainteresowań; poza tym był on jaskrawym, a bodaj i intencjonalnym kontrastem tamtego. Autor *Sztuki i krytyki* wyszedł ze środowiska powstańczego, sybirsko-anhellicznego, i pod nalotem pozytywizmu pozostał romantykiem. Jego syn po uszy tkwi w zdobyczach myśli XX stulecia. Autor *Matejki* oddychał nie powietrzem, lecz patriotyzmem — Witkacy z polskością czuł się połączonym głównie przez polską sztukę, a jeśli kiedy w dziełach swoich zahaczał o ojczyznę, to zawsze z gestem wyjmowania kości z gardła. — Gdy u starego Witkiewicza wszystko, z utopią *inclusive*, przemieniało się w ład i konstrukcję, to u autora *Tumora Mózgowicza* wszystko skłaniało się do deformacji i obracało się w negację.

Dorobek literacki Witkacego składa się: z tomu *Szkiców estetycznych*, dwudziestu kilku dramatów, dwóch powieści, filozofii malarstwa, teoretycznych rozważań nad istotą teatru oraz unikatowej bodaj w literaturze rozprawy-notatnika o działaniu narkotyków na procesy myślenia.

Szkice estetyczne i jego filozofia sztuki w ogóle stanowią nie najmniej ważny wkład w Witkacową twórczość. — Zanadto może przesyczone rozdrażnionymi polemikami, żmudnym językiem wysłowiające się, prace te świadczą jednak o zacieklej potrzebie badania, a wspiera je kultura myślicielska, wgryzienia się w niemiecki kantyzm, potem w Macha i wreszcie w fenomenalistów. Z temperamentu monista (a już William James stwierdził, że filozoficzne punkty widzenia to sprawa przede wszystkim temperamentu), monista więc z temperamentu, Witkacy wszystkiemu, co jest twórczością, szuka wspólnej zasady. W malarstwie mało go obchodzi różnice i indywidualności, wynajduje tylko to, co by łączyło np. Rembrandta z... Picasssem. Teatr interesuje go przede wszystkim o tyle, o ile da się w teatrze wysledzić pokrewieństwo genetyczne z innymi sztukami. — Czasami ma się wrażenie, że w ogóle na sztukę patrzy jako na surowiec dla... teorii sztuki.

Dramaty Witkacego chciałoby się uważać za podstępny żart, ale autor brał je na serio, uparcie wojując o ich wyższość nad dramatopisarstwem „bebechowym” (realistycznym), propagując przez nie „czystą formę” w teatrze. Były one, te jego dramaty, przekornym dziwactwem, ale miarę wsączonego w nie talentu stanowił fakt, że niektóre z nich, wystawione na scenie, jednak przykuwały uwagę nie tylko swą ekscentrycznością. Z dramatów tych poznać możemy co najwyżej teorię dramatyczną Witkacego — on sam jako... *dramatis persona* zrozumiały się staje dopiero w swych powieściach.

¹ 18 września 1939 r. we wsi Jeziory na Wołyniu (w b. powiecie sarneńskim).

Wydał je dwie: *Pożegnanie jesieni* w roku 1926 i o kilka lat późniejsze *Nienasycenie*. Obie niesamowite nie przez to, by nas wprowadzały w światy ponadzmysłowe, lecz — że zmysłowość w ukazywaniu światów dochodzi w nich do upiornych wymiarów. Narkomania, orgiazm seksualny, sodomizm, wynaturzenia i obłęd — oto główne tu składniki. Troskliwiej od innych opracowani, jak *Atanazy z Pożegnania jesieni*, ukazują przerażającą zawartość wewnętrzną. Przez karty powieści włączają się jakieś fantomy normalnej ludzkiej duchowości. Jakby w męczeńską klatkę zagnani w impas swoich samounicestwień, patologiczni, przegryzieni najczarniejszą beznadzieją egocentrycy — nie znają żadnych obowiązków, żadnych ideałów, umiowań. Może jedynie wyżyć się w jakiejś zbrodni zaspokoiliby na chwilę ich rozjuszenie na świat, na ludzi, na „wymysł” istnienia.

Nietrudno dostrzec, że wiele Witkacowych figur należy wziąć za epigonów przybyszewszczyzny, jako nową serię dzieci szatana¹. Jak tamci, tak i ci — erotomani, zamknięci hermetycznie w swojej cielesności. Tylko że ci, np. z *Nienasycenia*, nawet cielesność swoją wciągają w obręb swoich rdzennych abominacyj². Pozbawiony wspaniałej stylistyki Przybyszewskiego, Witkacy przebywa jednak w tym samym halucynacyjnym koszmarze. Gruntowniej od mistrza wykształcony, wypowiada się nie tak olśniewająco, ale wypowiada więcej niezablagowanych myśli — i myśli ściślej, o ile toku myślenia nie przesłoni mu jego czarna uczuciowość.

Powieść Witkacego w każdym razie jest jakby krokiem dalej w fale owego Przybyszewskiego ulubionego *mare tenebrarum*. Tamten zanurzał się w nie, by zaznać swoistej mistyki Niewiadomego — Witkacy w morze mroków wkracza, by odbyć połów potworności.

Odbity tu i ówdzie od Przybyszewskiego, głową uderza o Prousta. W uwagach o autorze *Od strony Swanna* Witkacy zaznacza swój względem niego krytycyzm, ale to raczej zacieranie śladów. Nie tak aż rozwlekły jak Proust, ale za to wyzbyty zdolności proustowskiego rysowania figur — tą samą jest obdarzony skłonnością do bakteriologicznej analizy stanów świadomości. U autora *Pogoni za straconym czasem* bakterie te witalnotwórcze — u naszego pisarza gnilne li tylko. W każdym razie, chronologicznie rzecz biorąc, ten następca Przybyszewskiego był pierwszym u nas proustystą. Z wad Prousta najważniejszą będzie niemoc należytego wysłowienia się — najpierwszą wadą Witkacego obojętność wobec świata zewnętrznego, tego podstawowego surowca powieści. Wszelkie realia, wszelkie autentyzmy, które inni beletryści tak pieścą w swoich dziełach, Witkacy traktuje jako groteskę (stąd te zabawne, drwiną zaprawione jego nazwy potraw, sprzętów, a nawet imion ludzkich). Zmysły są kołyską talentu powieściopisarskiego; ze wszystkich zmysłów Witkacy zużytkowuje dla swych dzieł li tylko wzrok, ale zużytkowuje go wyłącznie po malarsku, ani trochę po pisarsku.

Zamknięty w skorupie swego „ja” nie widzi dusz, nie widzi charakterów, nie widzi fizycznych reakcji danego uczucia. Ludzie jego powieści nie znają kolorów, a nawet konturów, wszyscy mówią jednym i tym samym językiem, wszyscy myślą i czują jednakowym trybem, wszyscy tokują na temat ontologii i podświadomości. Wszyscy — a kilkadziesiąt figur przesuwają się przez te dwie powieści — to właściwie jakby jedna osoba, pod rozmaitymi nazwiskami występująca, a tą osobą jest sam autor³. Postać interesująca, a raczej zastanawiająca, czasem niepokój budząca. Czasem współczucie.

Zastanawia nas w nim demiurg nasilenia twórczego, wir na poły obłąkańczych emocyj, zastanawiają nas napady jego eksplozji myślowych. Nie zatajajmy: sensacyjność Witkacego nie stroni co prawda od rywalizacji z Celine’em czy Lawrence’em⁴, ale oś jego wysiłków to do chorobliwości nieraz natężona dociekliwość — i to w najrozmaitszych kierunkach. Za swoim bohaterem z *Pożegnania jesieni* mógłby powiedzieć: „chciałbym wszystkim być, wszystko przeżyć, połączyć w sobie najdziksze sprzeczności”; — wyznanie to kończy się zwrotem: „pęklbym wreszcie nadziany sam na siebie, jak na pal”. Taki grymas

wniosku to — ulubiona zabawka Witkacego. „W jego życiu — znowu niby to o bohaterze powieści pisze: — nie działo się nic po prostu, wszystko pokłębione, poplątane”. Dodajmy: historyczne i makabryczne. Jego wrażliwość pozostaje w nieustannym a bezpowodnym rozdrażnieniu. Towarzystwo ludzkie irytuje go, samotność go przygnębia, ciemność przestrasza, jasność nudzi, wszystko mu nienawistne, wszystko go przyprawia o potrzebę obelżywych względem świata medytacji⁵, a w stosunku do siebie samego jedna tylko tęsknota: nie istnieć!

Zwyczajny skon nie zadowoliłby jednak jego chmurnej megalomanii: „Chciałbym, żeby zrobiła się na świecie jakaś straszna kasza, wobec której wszystkie wojny i rewolucje zdawałyby się nędznymi igraszkami — i w takiej kaszy zginąć, jeśli już nie w międzyplanetarnej katastrofie”.

Ponad czub głowy zanurzony w sobie samym, czujną obecnością przebywa wszelako we wszystkich najnowszych zdobyczach nauki, w wirze walk myślicielskich, w roju najśmielszych wizji, w bezmiarze wszechświata, „w kosmicznym pyłe słońce”. To daje niejaki wytchnienie jego duszy, smaganej samoudręczeniem. — Z dygresyj jego powieściowych sądząc, filozofia, a zwłaszcza teoria poznania powinna była dać pion pokrzywionemu, poszarpanemu organizmowi, jego idei, ale i tu zamiast ładu — nieporozumienie. Najenergiczniej miota się w dziedzinie metafizyki, a wszystkie inklinacje pchają go w stronę nauk ścisłych. Jak tu, tak i wszędzie ten klasyczny subiektywista nie umiał znaleźć siebie. Z tych rozłamów, z tych pęknięć wewnętrznych, z tych rozdwojeń wyłania się zawsze jedno: nasilonymi halucynacjami, wyolbrzymionym polem widzenia, spazmem rozpaczy wydrzeć się poza znienawidzoną rzeczywistość!! Tkwi w nim zabijające go marzenie o „przedwiecznym teatrze”, gdzie by „w prosceniowej łoży siedział Stworzyciel, naprzeciw Szatan, a na scenie w mękach cały świat nieskończony”. — Obraz poetycko potężny, wizja, której by Byron z *Kainą* pozazdrościł. — I jakże tu charakterystyczny dla Witkacego element męki, bez której jego koncepcja nie czułaby się rzeczą zakończoną.

Cierpienie jest zasadniczym pierwiastkiem jego czucia się w swoim jestestwie. Powstaje ono w nim nie z doznanych niepowodzeń czy dramatów, nie z pokrzywdzonej wiary w ludzkość (jak to jest np. u Berenta), nie z żadnego w ogóle przypadku życia, lecz z egzystencjalnej konieczności, z zamknięcia w więzieniu rzeczywistości. I jego psyche to rwanie się ku nieskończoności, by potem zaraz spaść i przyłgnąć całą pasją do tego, co dlań obrzydliwe i co go czyni nieszczęśliwcem. Zza tego krwawiącego pęknięcia duszy wyziera zrozumiała panika, katastroficzne spojrzenie na człowieka, świat, na dzieło stworzenia nawet. Czy można przejść obojętnie obok twórczości tak okrutnie samoukrzyżowanej?

I czy w ogóle da się obojętnie przejść obok tego fenomenu naszej literatury, któremu miano: St. Ignacy Witkiewicz?

Gdy się w jego pisma wczyta ktoś uważnie, a zwłaszcza z miłosierdziem, to nie może nie zauważyć, że na dnie jego ponurego, męczącego i umęczonego intelektu kryło się jednak coś pięknego. Brutalny w obrazach, a nawet w mowie, miał struny delikatności w instynktach. Nihilista, przez smutek istnienia, żywił jednak respekt do religii, czego dowodem rozdział o n a w r a c a n i u w *Pożegnaniu jesieni*. Chropowaty jako stylistą, pod naciskiem swoich furij myślowych potrafił się zdobyć na wyjątkowo nieraz szczęśliwe, a zawsze przygniatające sformułowania i definicje. Adept dyscyplin naukowych, niejedną raz odezwie się głosem prawdziwego poety, a nawet obłądności jego scen owiewa płomień nie z tego jakby świata. W sumie najbogatsza bodaj natura ze wszystkich naszych tego okresu pasierbów sławy.

Rozporządzał pewną dziedziną myślenia, w której mógł uchodzić za pioniera: teoria malarstwa. W jego ujęciu raczej to już metafizyka sztuki malarskiej. Odrzucić oczywiście trzeba wszystkie ponure zadzierności, mizantropie, która i tu się wkradła, odrzucić trzeba uparte agresywne krańcowości, a zostanie miąższ zapatrywań, który w dobie ukazania się

książki wydawał się ekstrawagancją, a który do niedawna popierała praktyką twórczość wielu nowożytnych naszych malarzy, nawet całych szkół malarskich. Witkacy był kodyfikatorem tego prądu. — Nie da się też przeoczyć faktu, że zarówno teorie estetyczne, jak i twórczość beletrystyczna, ba! nawet dramaturgia Witkacego żyje dotychczas w entuzjasmie niejednego z jego czytelników. Dowodem to, że ta fermentująca, wzburzona, niezartykułowana, ale widocznie sugestywna poezja była jakąś potrzebą swojego czasu.

Na dziewięć — dziesięć lat przed śmiercią odłożył pióro. Czy zniechęcił go nikły rezonans jego nowatorstwa? czy literatura wydała mu się czymś zbyt ograniczonym w stosunku do ponadnormalnych jego widzeń? czy zwątpił o swym talencie? przestał pisać czy też przestał publikować napisane?* W odwróceniu się od świata doczekał września 1939 roku. Przed nadchodzącą armią niemiecką uciekał na wschód; tu w okolicach Równego bodaj — czy nie na wieść o oblężeniu Warszawy? czy pod wpływem innego uderzenia w serce — owa zawsze przedtem z pola jego zainteresowań odsuwana Ojczyzna stanęła naraz przed nim jako coś najdroższego i najbardziej osobistego. Wydało mu się, że Polski już nie będzie, i ponadnacionalny klerk uczuł, że nie żyć mu bez niej. Tylekroć rojona przezeń śmierć w ogniach kataklizmu przyszła doń upomnieć się o swą należność, oddał jej siebie. W godzinę konania czy mu aby wspomniały się jego własne słowa: „wypiętrzy się państwo niwelującego antychrysta do najwyższej potęgi, aby tym głębiej się zapaść; zakwitną wtedy na nowo dusze”.

¹ „Coś samo myślało za niego w rozpalonych trzewiach nagiego Bytu” — mówi jedna z postaci Witkacego, jakby czytana *Synagogą szatana* czy *De profundis*. I co chwila wyczuwa się podobną filiację.

² „Wstrętne zbiorowisko komórek, ociekające wydzielinami gruczołów, ciemne, krwawe, gorące i śmierdzące”, „co za wstrętna rzecz — pleć!” — itp.

³ W polemikach z krytyką Witkacy zastrzegał się, by go nie identyfikować z jego bohaterami; w najlepszym razie złudzenie to autorskie: splatanie się w jedno twórcy i jego figur bije wprost w oczy.

⁴ Więc np.: ktoś „w oczach” ukochanej kobiety „ujrzał zło, świecące jak lampka elektryczna poprzez mleczną szybę jakiegoś potwornego klozetu”, oto próbka.

⁵ „Mordę” lub „pokrakę” należy uważać za jedną z najdelikatniejszych u Witkacego nazw człowieka; bydlę — to stałe jego określenie bliźniego; — czasem odrażający wybuch nienawiści: „więcej lituję się nad zdychającym kotem niż nad całą nędzą ludzką”.

* Nie można powiedzieć, żeby St. I. Witkiewicz w ostatnich latach swego życia odłożył pióro. Zajmował się wówczas więcej filozofią, publikował w „Przeglądzie Filozoficznym”, „Kwartalniku Filozoficznym” i innych pismach. Pisał też dość sporo rzeczy, których w ogóle nie ogłaszał (podobnie zresztą czynił i przedtem, a jego sztuki np. często grywane, ale nie drukowane), m. in. powieść *Jedyne wyjście* cz. I: *Przyjaciele* (1932–1933); sztuka *Szewcy* (1931–1934); *O pojęciu celowości w biologii* (1936); rozprawę krytyczną o Wittgensteinie (1936).